

## A może Boliwia cz. VII

### Misión cumplida<sup>1</sup>

Biskup Antonio Eduardo miał ciekawy sposób komunikowania swoich wyjazdów, a jeździł sporo po parafiach, bo bierzmował, doglądał budów i remontów, załatwiał wiele spraw.

- Mañana me voy a Guarayos. Con su permiso. (Jutro jadę na Guarayos. Za waszym pozwoleniem.)

Czasami żartowałem:

- A jak nie pozwolę? - pytałem.

- To i tak pojedę - odpowiadał Biskup.

A gdy wracał z takiego wyjazdu, pytałyśmy go, jak było. Odpowiedź zawsze miał jedną:

- Misión cumplida.

Kilka lat wcześniej Biskup przeszedł operację biodra. Lekarz zalecił mu jazdę na rowerze albo pływanie. A że uwielbiał to ostatnie, więc każdego dnia, gdy był w Concepción, a pogoda na to pozwalała, około godziny 16.30 - 17.00, jechał na pobliski zalew popływać.

Dnia 13 października 2000 roku, na godzinę 14.00 umówiłem się z kimś na rozmowę. Poszedłem do salki rekreacyjnej i czekałem, aż ta osoba przyjdzie. Drzwi były otwarte. W pewnej chwili, ukazała się w nich twarz Biskupa. Uśmiechnął się i poszedł. Zobaczyłem, że był z ręcznikiem. Jechł popływać. Tylko dlaczego tak wcześniej? Przecież nie planował żadnego wyjazdu! O godzinie 16.00 przybiegł jeden z ministrantów i powiedział mi, że Biskup się utopił. Pobiegłem szybko do proboszcza - nie było go. Wsiadłem w samochód i pojechałem nad zalew. Ludzi było tam sporo. Natychmiast poinformowali mnie, że Biskupa zawieziono do szpitala. Pojechałem tam. Biskup leżał w gabinecie zabiegowym. Zmarł jakieś 20 minut wcześniej. Proboszcz już tu był i wyszedł na chwilę. Udzieliłem jeszcze Biskupowi absolucji generalnej.

Lekarze poinformowali mnie, że się nie utopił, tylko dostał bardzo silnego ataku serca. Zmarł we wodzie. Natychmiast został wyciągnięty i przewieziony do szpitala, ale już nie żył. I co ciekawego, zmarł w miejscu, które tak bardzo ukochał - w Concepción; zmarł podczas robienia tego, co sprawiało mu tyle przyjemności - podczas pływania; zmarł w piątek, a był to 13 października, w kolejną rocznicę ostatniego dnia objawień w Fatimie -

---

<sup>1</sup> Misión cumplida (hiszp.) - misja spełniona.

codziennie, gdy był w Concepción odmawiał Jutrznę przy bocznym ołtarzu w którym było tabernakulum i figura Matki Boskiej i każdego dnia, pół godziny przed Mszą św. wieczorną siadał w katedrze i odmawiał różaniec.

Ustaliliśmy z proboszczem, że o godzinie 19.00 przywiozę ciało Biskupa ze szpitala do katedry i on zrobi wprowadzenie zwłok. Położyliśmy Biskupa przed głównym ołtarzem. O godzinie 19.30 odprawiliśmy Mszę św. Potem przyjechał bp Julio Elías z Beni i kilku kapłanów. Katedra była otwarta dzień i noc aż do niedzieli. Cały czas byli ludzie, wielu płakało, modlili się. W międzyczasie przygotowano grób w katedrze, przed bocznym ołtarzem tam, gdzie Biskup codziennie odmawiał Jutrznę.

W niedzielę, 15 czerwca, Mszy św. pogrzebowej przewodniczył abp Julio Terrazas<sup>2</sup> z Santa Cruz (przewodniczący Konferencji Episkopatu Boliwii), a kondukt poprowadził abp Józef Wesołowski. trumnę nieśli na zmianę przedstawiciele władz państwowych z Prezydentem Republiki Hugo Bantzer'em, przedstawiciele władz wojewódzkich i lokalnych oraz kapłani i wierni. W uroczystościach pogrzebowych uczestniczyło ponad trzy tysiące ludzi. Jeszcze przed Mszą św. na fotelu biskupa położyłem bukiet czerwonych róż. Podczas celebracji, na fotelikach obok pustego tronu usiedli celebransi. Po obrzędach Nuncjusz zapytał

- A te kwiaty na tronie biskupim, czemu one tam leżały?

- Żeby nikt z was tam nie usiadł! - odpowiedziałem - A tak poważnie, przed Mszą św. przypomniały mi się zdjęcia tronu papieskiego z 1966 roku na Jasnej Górze, jak władze nie pozwoliły przyjechać Ojcu św. do Polski. Papieża nie było, ale tron był wymowny. Pomyślałem, żeby podkreślić to, że teraz tron Biskupa jest pusty.

- Tak też sobie pomyślałem - powiedział Nuncjusz - dobry pomysł.

Podczas tych celebracji bardzo często przywoływano słowa zmarłego Biskupa: „Misión cumplida”. Wszyscy, którzy go znaliśmy jesteśmy przekonani, że dobrze wypełnił misję, którą Pan mu powierzył.

## Przyszła parafia

Już pod koniec listopada dowiedziałem się, że zostanie mi powierzona parafia w San Antonio de Lomerío. Przejęcie parafii miało być w styczniu 2001 roku. Podczas spotkania Rady Duszpasterskiej Wikariatu, ustępujący proboszcz prosił, by mógł odejść po Wielkanocy. Powiedziałem więc, że w

---

<sup>2</sup> Abp. Julio Terrazas na początku w lutym 2001 roku został podniesiony do godności kardynalskiej. Jest to pierwszy Kardynał Boliwijczyk.

tym roku przypada mój urlop<sup>3</sup>, więc polecę do Polski i parafię mogę przejąć po powrocie. Ponieważ tamten proboszcz chciał lecieć na swój urlop w styczniu, więc zapadła następująca decyzja: on leci na urlop na cały styczeń, a ja go zastępuję (bez ogłaszania jeszcze, że będę tam proboszczem); ja lecę na urlop w lutym i wracam pod koniec kwietnia aby przejąć parafię.

Dnia 1 stycznia 2001 roku, o godzinie 9.00 odprawiłem Mszę św. w katedrze i pożegnłem się, a po południu wyjechałem z Concepción. Najpierw jeszcze na kilka dni pojechałem do Cochabamby, by uczestniczyć w spotkaniu odpowiedzialnych za duszpasterstwo powołaniowe w Prowincji. Po powrocie pojechałem do San Antonio de Lomerío.

W seminarium mi mówiono, że aby parafia mogła normalnie funkcjonować, musi być jeden ksiądz na maksymalnie 800 wiernych. I co pastorałści powiedzą teraz? Samo miasto liczyło półtora tysiąca mieszkańców. Do parafii należało jeszcze 27 wiosek. W sumie parafia liczyła około sześć tysięcy wiernych. Parafia to prawdziwy kombinat:

- szpital i osiem punktów sanitarnych na wioskach,
- rozgłośnia radiowa i przekaźnik telewizyjny,
- dwie farmy z krowami,
- stolarnia,
- mały hotelik.

To wszystko pod zarządem proboszcza. A jeszcze to, co najważniejsze: cała praca duszpasterska i utrzymanie kościoła parafialnego i kilkunastu kaplic oraz budynku mieszkalnego i domów parafialnych w mieście i na wioskach. Oczywiście, do tego wszystkiego tylko jeden kapłan!

Parafia bardzo trudna. Składało się na to wiele powodów, ale najważniejsze, to brak ofiarności ze strony większości parafian, bardzo hermetyczne zamknięcie się na obcych (nie chodzi tu o kapłana, ale o pochodzących z innych miast czy wiosek) i walczące ze sobą ugrupowania polityczne (partie polityczne były tylko przykrywką klanów, które śmiało można nazwać lokalnymi mafiami). Jeden z poprzednich proboszczów wyznał: „zbyt wiele im daliśmy bez stawiania wymagań i nie nauczyliśmy ich ofiarności”. Jasnym przykładem tego jest fakt, że przy pomocy jednego z niemieckich projektów parafia dała materiały na wybudowanie wszystkich domów w mieście, w zamian za to oczekiwała, by ludzie sami sobie te domy pobudowali i jeszcze, wydawano dla wszystkich posiłki, aby nie odchodzili do innych zajęć, tylko siedzieli na budowach, a jeszcze proboszcz jeździł po

---

<sup>3</sup> My, franciszkanie w Boliwii, raz na trzy lata jeździmy na urlop do kraju na trzy miesiące.

wiosce i poganiał, żeby oni budowali swoje własne domy. Każdy obcy, który sprowadził się do miasta czy do którejś wioski, był odrzucany i często tak mu „umilano” życie, że po pewnym czasie się wynosił. Do tego wszystkiego owa klanowość, która niszczyła wspólnotę miasta, czy wioski, niszczyła rodziny i życie poszczególnych osób.

Teraz, podczas zastępstwa znalazłem się w wyjątkowej sytuacji: proboszczem nie byłem, więc i obowiązków żadnych nie miałem, a w kieszeni miałem już dekret na objęcie parafii od 6 maja 2001. Ludzie wiedzieli tylko, że jestem na zastępstwie, a ja wiedziałem, że jestem tutaj aby poznać parafię. Stąd też wielu mówiło mi o sprawach, których swojemu proboszczowi by nie powiedzieli, a pracownicy parafii, którzy „kombinowali”, teraz robili to jawnie, bo proboszcza nie było. Dla tych ostanich, niestety, później okazało się, jak źle na tym wyszli, ponieważ pół roku później stracili pracę. Nie była to moja zemsta za to, co widziałem w styczniu, tylko za to, co robili dopiero w maju i czerwcu, a ja to łatwo mogłem dostrzec dzięki temu, co już widziałem wcześniej. Zresztą trzech moich poprzedników, pierwszą radą, którą mi dali było zwolnienie tamtych osób.

## **Pierwszy urlop**

W środę 31 stycznia 2001 roku w Sant Cruz było +30°C. O godzinie 14 z minutami wyleciałem do Saõ Paulo, a stamtąd przez Londyn (śródlądowanie) do Kopenhagi. Tu były dwa stanowiska odprawy celnej: jedno dla mieszkańców Unii Europejskiej, a drugie dla reszty świata. Kolejka tej „reszty świata” niezimska. Stoję i słucham, co się dzieje. A tam wypytywanie każdego przez kilka minut i to wszystko po angielsku. Nie znam tego języka. W końcu dochodzę do okienka, podaję paszport i mówię po hiszpańsku:

- Tránsito (przejazdem).

Pan w okienku spojrział na orzłka na okładce, wbił pieczętkę do paszportu i z uśmiechem powiedział:

- Dobra podróža.

To było wszystko! Udało się, ale teraz musiałem odebrać bagaże i iść po wejściówkę na samolot do Poznania. Ale gdzie tu iść? Stanowisk cała masa... Podszedłem do informacji. Skoro takie wielkie lotnisko międzynarodowe, to pewnie dogadam się po hiszpańsku. I tu wielkie zdziwienie. Dwóch panów w informacji, ale żaden nie mówi po hiszpańsku. Przy pomocy biletu, kartki, rąk i starej wejściówki zrozumieli moje pytanie i podali mi numer właściwego

stanowiska. Odebrałem wejściówkę, bez problemu przeszedłem odprawę paszportową. Do odlotu było jeszcze trochę czasu. Chciałem się czegoś napić, ale wszędzie sprzedawali napoje z lodówki, a mi było zimno i już byłem lekko przeziębiony. Przy jednym stoisku z napojami stał sprzedawca Azjata. Podszedłem i zapytałem go czy mówi po hiszpańsku.

- Mówię bardzo słabo - odpowiedział czysto w hiszpańskim - ale dużo rozumiem.

No i masz globalizację, nie dogadasz się po hiszpańsku w informacji ale ze sprzedawcą napojów tak.

Wreszcie wsiadłem do samolotu LOTu. Mały, na czterdzieści parę osób, ale kompletnie nowy, jeszcze było czuć farbę. Miła obsługa i wreszcie polskie jedzenie. Kiedy stewardesa roznosiła napoje, usłyszałem głos pilota:

- W Poznaniu jest dość ciepło, +1°C...

Roześmiałem się w głos. Zdziwiona, spojrzała na mnie i zapytała:

- Co się stało?

- Rozbawiło mnie to „dość ciepło +1°C”, bo ja wyleciałem z +30.

- Na prawdę teraz jest dość ciepło. - potwierdziła - Rano było -1. A co podać do picia?

- Gorącą herbatę z cytryną, proszę.

Do Poznania doleciałem szczęśliwie. Na lotnisku czekało na mnie dwóch ojców z naszej Prowincji, mój brat i dwie kuzynki. Pojechaliśmy do klasztoru. Była już godzina 22 z minutami, 1 lutego. Gwardian poinformował mnie, że założyli w klasztorze nowe ogrzewanie i jest bardzo ciepło. No może im było ciepło, ale mnie nie.

Następnego dnia rano pojechałem do domu rodzinnego. Jedno z pierwszych pytań brzmiało:

- Co chcesz na obiad?

- Chleba ze smalcem!

- To mamy, ale na obiad co chcesz?

- Chleba ze smalcem!

- No dobrze, dostaniesz. Ale, co na obiad?

- Chleba ze smalcem! Polski obiad miałem okazję jeść kilka razy, ale chleba ze smalcem nie było.

Oczywiście zaraz znalazł się na stole chleb i smalec, a później na obiad rosół z kury, a na drugie schabowy, ziemniaki i kiszona kapusta. Wreszcie katolickie jedzenie!

Trochę czasu w domu, trochę spotkań z rodziną i znajomymi, trochę odwiedzin w klasztorach, trzy serie rekolekcji parafialnych, kazania niedzielne

w kilku parafiach i czas urlopu dobieł końca. W dniu 29 kwietnia wyleciałem z Poznania, by następnego dnia wylądować w Santa Cruz.

## San Antonio de Lomerío

W dniu 30 kwietnia, gdzieś koło godziny 11 doleciałem do Santa Cruz. Na lotnisku już czekali nasi. Przyjechaliśmy do klasztoru św. Antoniego. Myślałem tylko o jednym: spać! Nic z tego nie wyszło. Okazało się, że w klasztorze już było kilku innych Polaków. Nowości z kraju, wspomnienia, polska kiełbasa i polski chleb. Poszedłem spać dość wcześnie (godzina 2 czy 3 w nocy, to już nie późno ale wcześnie). Jednym tylko się pocieszałem: jest 1 maja (środa), nigdzie mi się nie śpieszy, mogę pospać do obiadu albo i dłużej. Do parafii chciałem jechać autobusem dopiero w piątek. Przed godziną 8 rano jakiś „sadysta” walił w moje drzwi. Kiedy wreszcie uświadomiłem sobie, że żyję i gdzie jestem, zrozumiałem słowa, które dobiegały z korytarza:

- Są tutaj siostry z Lomerío. Za pół godziny jadą samochodem do domu. Chce się ojciec z nimi się zabrać?

Szybko zacząłem myśleć: jak mam się tłuc autobusem przez ponad 10 godzin, to lepiej już z nimi samochodem. Ale co ze spaniem? Później, może w samochodzie. Szybko wstałem, doprowadziłem się do stanu używalności, zamknąłem walizki i w drogę.

Jeszcze do Cuatro Cañadas jakoś byłem przytomny (to tylko 100 km od Santa Cruz). Tam stanęliśmy na obiad. Potem, gdy znowu usiadłem w samochodzie... obudziłem się w San Antonio.

Do niedzieli przebiedowałem w pokoju gościnnym nudząc się i rozwiązując krzyżówki na przemian. W niedzielę 6 maja, pierwszą Mszę św. o godzinie 7.30 odprawił dotychczasowy proboszcz, drugą o godzinie 10.00 celebrowałem ja. On odczytał dekret przejęcia parafii i pożegnał się z wiernymi. Po Mszy św. wszystkich uczestników zaprosił na obiad. To szumnie brzmi ale tylko w wydaniu polskim. Tam uroczysty obiad był prosty: każdy dostał na liściu bananowca kawałek mięsa z rusztu, trochę ryżu i kawałek juki. Wieczorem trochę przedstawił mi sytuację w parafii. W poniedziałek rano zapakował do samochodu resztę swoich rzeczy i o godzinie 10.00 wyjechał. Zostałem w mieszkaniu z pustymi regałami.

Dom był ładny i wygodny: kuchnia z magazynem, salon, a w nim kominek, biuro oraz sypialnia z łazienką i małym pokoikiem jako szafą.

Oprócz tego, z osobnym wejściem było biuro parafialne i mały pokoik jako archiwum, dalej dwa pokoje gościnne ze wspólną łazienką i jeszcze jeden pokój z łazienką, jednak te dwa ostatnie pomieszczenia były graciarnią. Ustawiłem po swoim meble, rozpakowałem moje rzeczy i zacząłem działać. Poważny problem z domem pokazał się wtedy, gdy przyjechało dwóch lekarzy i administratorka szpitala z Concepción. Oni spali w pokojach gościnny na parafii, ona u sióstr. Ale kiedy przyszła do nas i chciała iść do ubikacji, nie miała gdzie, choć w domu były trzy łazienki. I to była pierwsza decyzja: wyremontować graciarnię. Pokój został odmalowany, wstawiłem meble. Łazienka została podzielona na dwie części: w jednej, do której wchodziło się z tego pokoju, znalazła się umywalka, muszla klozetowa i prysznic, a w drugiej części (do której zrobiłem wejście z korytarza) tylko umywalka i muszla klozetowa; w ten sposób dorobiłem się „ubikacji publicznej”. A dalej, poprzestawiałem meble w biurze parafialnym, puste dotychczas półki zapełniłem dokumentami z archiwum, a mały pokoik przy biurze zamieniłem na prasownię i magazyn ręczników, pościeli i obrusów. Kuchnia została odmalowana, wstawiłem nowy piec i ustawiłem meble tak, by była ona funkcjonalna. Kucharki nie miałem, więc wszystko ustawiłem pod moją rękę. Potem, magazyn przy garażu przerobiłem na pralnię. Okazało się, że moje biuro jest bardzo ciemne i nawet w dzień bez światła nie można tam nic robić, więc wybiłem okno. Teraz już cały dom był wykorzystany. Nawet moim poprzednikom, bardzo podobały się te zmiany i żałowali, że wcześniej ich nie zrobili.

Obok prac w domu, natychmiast trzeba było przełożyć dach na jednym z budynków parafialnych, bo dachówki już obsunęły się o jakieś 20 cm. Część pomieszczeń całego kompleksu domu parafialnego, nie był wykorzystana. Jedna z sal została zmieniona na klasę dla dzieci głuchoniemych i ociemniałych. Drugi kompleks budynków (dawny internat) stał pusty. Tam swoją salkę otrzymała każda z grup parafialnych. Dzięki temu nie było już „pustostanów”.

W samym kościele trzeba było wymienić część nagłośnienia, bo nie było nic słycać i skompletować meble, gdyż większość była robiona wtedy, gdy budowano kościół, a resztę pościągano ze starych magazynów (nie były to jednak zabytki). Dopiero teraz wszystkie meble w kościele były w tym samym kolorze i w tym samym stylu.

## **Duch Święty działa**

Zaraz w połowie maja rozpoczęliśmy przygotowanie do bierzmowania. Dzięki temu mogłem w przyszłości mieć ekipę katechetów. Już od siedmiu miesięcy nie mieliśmy Biskupa, ale bardzo chętnie zaoferował się Nuncjusz. Umówiliśmy się, że bierzmowanie będzie 1 listopada. Ktoś pewnie powie, co to za data, we Wszystkich Świętych bierzmowanie? Tylko, że tu nie obchodzi się tej uroczystości tak, jak w Polsce. Uroczyście obchodzi się wspomnienie wszystkich zmarłych 2 listopada i ten dzień jest wolny od pracy. Wtedy wszyscy idą na cmentarze, tam też odprawia się Msze św. A liturgiczny obchód Wszystkich Świętych przenosi się na najbliższą niedzielę.

W całej parafii nabierało się około 400 kandydatów. Przygotowanie szło dwoma torami. Pierwszy, to każdy dostał broszurę z tekstem, a lekcje były transmitowane przez naszą stację radiową. Drugi, to trzech katechetów objeżdżało wszystkie wioski i prowadziło spotkania w mieście. Podczas takich spotkań tłumaczyli to, co było niezrozumiałe i sprawdzali wiadomości kandydatów.

Wy tłumaczyłem też ludziom na wioskach, że na bierzmowanie przyjedzie Nuncjusz i to pewnie będzie jedyna okazja w ich życiu do spotkania się z nim, dlatego na samą uroczystość będą musieli przyjechać do San Antonio. Wszyscy, nie tylko zrozumieli sytuację, ale i bardzo cieszyli się z wizyty Nuncjusza (a że będą musieli iść czasami nawet 70 km w jedną stronę - przecież to jedyna okazja).

Jakieś dwa miesiące przed bierzmowaniem dzwoniłem do Nuncjusza.

- To kiedy to bierzmowanie? - zapytał.
- Tak jak się umawialiśmy, 1 listopada.
- Dobrze, tak mam zanotowane. To przyjadę do Concepción ostatniego października, a ty po południu przyjedziesz po mnie swoim samochodem.
- Monseñor, ale ja potrzebuję kogoś do roboty, a nie na wycieczkę.
- Nie rozumiem - odrzekł.
- A co? Sam będę to wszystko spowiadał? Przecież tego jest 400 sztuk.
- To potrzebujesz kogoś do spowiadania? W takim razie bardzo chętnie przyjadę ci pomóc.
- No to mi ulżyło. Będzie jeszcze Eryk<sup>4</sup> więc we trzech damy sobie radę.
- A ilu jest tych kandydatów? 400? - zapytał.
- No tak, z samego miasta 100 i 300 z wiosek. Ale oni już wiedzą i nie mają nic przeciw temu, żeby dojechać do San Antonio.

---

<sup>4</sup> O. Eryk Katulski ofm - pochodzi z Prowincji św. Franciszka w Poznaniu, wówczas był wikarym w El Hospicio w Cociabambie, potem był Taracia, w obecnie pracuje w Chipiriri.

- Ale ja bym chciał przejechać się na wioski.
- Możemy zrobić sobie wycieczkę - zaproponowałem.
- A gdyby tak to bierzmowanie rozłożyć jeszcze na trzy, cztery wioski.
- I nie lepiej raz solidnie popracować, a potem odpoczynek? - zapytałem.
- Nie. Zaplanuj wszystko tak, by bierzmowanie było jeszcze na wioskach.
- No dobrze. To może w San Antonio 200, w San José Obrero 100 i w El Puquío 100. Czyli w San Antonio 1 listopada, a na wioskach drugiego?
- Gdy prosiłeś mnie na 1 listopada, to potem dzwoniłem do innych i u Gustawa<sup>5</sup> mam bierzmowanie 3 listopada. Musimy zrobić inaczej - powiedział.
- No to w takim razie zróbmy spowiedź w San Antonio 31 października rano, o godzinie 16.00 bierzmowanie w jednej wiosce, a 1 listopada o 9.00 bierzmowanie w San Antonio i o 16.00 na drugiej wiosce.
- Tak będzie najlepiej. Ja powiadomię Reinalda.<sup>6</sup> - powiedział Nuncjusz - Do Santa Cruz przylecę samolotem, a do Concepción mnie przywiozą samochodem. Ty przyjedź po mnie 30 października o godzinie 17.00.

Teraz musiałem zaplanować spowiedź na wioskach. Rozpocząłem je na dwa tygodnie przed bierzmowaniem. Na szczęście grupy na wioskach nie były zbyt liczne 5 -20 osób, a drugie tyle to rodzice i świadkowie. W drugim tygodniu dojechał o. Eryk. Kandydatów z San Antonio wyspowiadaliśmy 30 października przed południem. Po południu pojechałem do Concepción. Dotarłem tam o godzinie 15.00. Powiedziano mi, że Nuncjusz już przyjechał i jest u proboszcza. Myślę sobie: powiem Nuncjuszowi, że już jestem, ale muszę załatwić jeszcze kilka spraw, więc wrócę przed godziną 17 i wyjedziemy tak, jak planowaliśmy. Wszedłem więc do biura do proboszcza. Tam też był Nuncjusz, który od razu powiedział:

- Poczekaj na korytarzu, bo mamy tutaj kilka ważnych spraw do omówienia z proboszczem.
- Nie Monseñor, nie będę czekał! Wszedłem tylko, żeby się przywitać i idę załatwić kilka spraw. Wrócę przed godziną 17 i wtedy możemy jechać. Widziałem, że odetchnął z ulgą. Wyszedłem i pomyślałem, że coś się święci, bo Nuncjusz był taki spięty, proboszcz jakiś taki bez humoru.

---

<sup>5</sup> O. Gustaw Mazur ofm - pochodzi z Prowincji Wniebowzięcia M.N.P. w Katowicach i jest proboszczem w Cuatro Cañadas.

<sup>6</sup> O. Reinaldo Brumberger ofm - Niemiec z Prowincji w Bawarii, wówczas proboszcz w Concepción, a obecnie proboszcz i gwardian w klasztorze św. Antoniego w Santa Cruz.

Kiedy wróciłem kilka minut przed godziną 17 Nuncjusz już za mną czekał. Teraz było widać, że jest w doskonałym humorze. Wsiedliśmy więc do samochodu i pojechaliśmy do San Antonio. W drodze Nuncjusz zaczął:

- Jutro dla Wikariatu będzie ważna wiadomość...

Na to nic się nie odezwałem, bo wiedziałem, że najpierw podpuszcza, a potem i tak nic konkretnego nie powie. Za chwilę powtórzył o tej ważnej wiadomości dla Wikariatu. Też nie zareagowałem. Później jeszcze rozmawialiśmy o zmarłym Biskupie, o pogrzebie. Pytał, gdzie położyłem po pogrzebie mitrę i pastorał, który był przy trumnie. Powoli zaczynałem łączyć fakty: to jego śpięcie, gdy wszedłem do biura proboszcza w Concepción, dobry humor przy wyjeździe, ta ważna wiadomość, te pytania o mitrę i pastorał. Zobaczymy, czy sprawdzą się moje przypuszczenia?

Dojechaliśmy do kościoła w San Antonio o godzinie 20.00. Właśnie skończyła się Msza św., którą odprawił o. Eryk i ludzie przed kościołem oczekiwali Nuncjusza. Odbyło się uroczyste powitanie. Następnie poszliśmy na probostwo na kolację. Przyszły również zakonnice Brazylijki. Przy stole Nuncjusz znowu zaczął podpuszczać:

- Jutro dla Wikariatu będzie ważna wiadomość...

- Będzie ogłoszony nowy Biskup dla Wikariatu? - zapytała jedna z sióstr.

- Tego nie mogę powiedzieć, ale jutro dla Wikariatu będzie ważna wiadomość... - odrzekł doskonale się bawiąc ich ciekawością.

- Ale niech Monseñor powie, przecież i tak nie możemy nikomu tego przekazać. Nie ma jak! - dopominały się zakonnice.

Ale Nuncjusz bawił się dalej powtarzając swoje:

- Jutro dla Wikariatu będzie ważna wiadomość...

One za to umierają z ciekawości, lecz zostały bez odpowiedzi.

Wreszcie kolacja dobiegła końca, zakonnice poszły do siebie. Zostałem z Nuncjuszem i Erykiem. Wróciliśmy do tematu nowego Biskupa dla Wikariatu. Nie dopytywaliśmy się, kto nim będzie, wiedząc, że Nuncjusz nie może niczego powiedzieć. W końcu i Nuncjusz wstał mówiąc:

- Jestem już zmęczony; lot z La Paz, potem jazda do Concepción i tutaj. Ja już jestem starszy pan, a wy jesteście młodzi, to możecie sobie posiedzieć. Ja idę spać. Dobranoc.

Gdy wychodził o. Eryk powiedział:

- Coś mi się zdaje, że jutro będziemy śpiewać Hymn polski.

Nuncjusz zatrzymał się w drzwiach, obrócił się i skwitował:

- Jak takie młode serce tak mówi, to może coś z tego będzie... Dobranoc!

I sobie poszedł. To jego „może” mogło oznaczać wszystko, więc nie było już o czym myśleć. I my wkrótce poszliśmy spać, bo zapowiadały się dwa ciężkie dni.

Rano, 31 października, o godzinie 7.45 weszliśmy na radio<sup>7</sup>. W eter poszła wiadomość:

- Nowym Biskupem dla Wikariatu został mianowany o. Antoni Reimann!<sup>8</sup>

A więc jednak! To już drugi Biskup Polak w Boliwii! Popłynęły życzenia od wszystkich dla nas Polaków, bo nasz rodak został Biskupem. Było to bardzo miłe. Szczególnie te życzenia od Niemców. Przecież to oni zakładali Wikariat, to oni wtedy byli liczniejsi od nas, to dzięki ich Prowincji ten Wikariat się utrzymywał, a teraz nie Niemiec, ale właśnie Polak został ich Biskupem. Wiedzieliśmy, że ich radość była autentyczna i wszystkie życzenia bardzo szczerze.

Jednak wszystko ma swój koniec, a przede wszystkim każde święto. Trzeba było zabrać się do pracy. O godzinie 9.00 miała rozpocząć się spowiedź dla rodziców i świadków bierzmowania, a w międzyczasie dzień skupienia dla kandydatów w San Antonio. Takie dni skupienia dla kandydatów, którzy mieli przyjąć bierzmowanie na wioskach odbyły się tydzień wcześniej. Przed wyjściem do kościoła z Nuncjuszem układaliśmy plan:

- wchodzimy do kościoła i wszyscy kłękamy, krótka modlitwa,
  - witam Nuncjusza,
  - Nuncjusz kieruje kilka słów do zebranych,
  - spowiedź.
- Monseñor poinformuje wszystkich o nowym Biskupie - zaproponowałem.  
- Ty to zrób jako proboszcz.

---

<sup>7</sup> Dwa razy dziennie, o godzinie 7.45 i o 14.30, łączymy się przez radiostacje z klasztorem, a przez to z naszym biurem w Santa Cruz i ze wszystkimi parafiami Wikariatu.

<sup>8</sup> Pierwszą wiadomość o nominacji nowego biskupa podało Radio Watykańskie w wiadomościach o północy. Po tym ogłoszeniu nominacja stała się oficjalną. Przy różnicy czasu pomiędzy nami a Europą, u nas była wtedy godzina 6.00. Do czasu tej oficjalnej wiadomości, nazwisko nominata jest utrzymywane w tajemnicy. Nuncjusz, jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem musiał poinformować Wikariusza Generalnego w Wikariacie, którym był właśnie proboszcz z Concepción. Stąd niezręczna sytuacja, kiedy wszedłem do biura podczas ich rozmowy, a napięcie natychmiast się rozładowało, kiedy po przywitaniu się, natychmiast wyszedłem.

- Ale jak to będzie wyglądało, gdy stoję obok Nuncjusza, a sam informuję o decyzji Rzymu?

- Biskup jest dla Wikariatu, ty pracujesz w tym Wikariacie. - odrzekł - Najlepiej będzie, jak mnie przywitasz, potem ja powiem kilka słów, potem ty ogłosisz, że jest nowy Biskup, a ja to potwierdzę i potem już spowiadamy.

- No dobrze - zgodziłem się.

Wszystko szło według planu: weszliśmy do kościoła, wszyscy ukłękli z nami, krótka modlitwa; potem powitałem Nuncjusza. Teraz on zabrał głos i zaraz w pierwszych słowach powiedział:

- ... i chcę podzielić się z wami ogromną radością: Ojciec św. Jan Paweł II mianował nowego Biskupa dla waszego Wikariat. Jest nim o. Antoni Reimann...

A jednak nie wytrzymał, najpierw tyle mówił, żebym to ja ogłosił, a teraz sam to zrobił. Pomimo, że o tej nominacji wiedział już od dawna, teraz cieszył się razem z nami.

Rozpoczęła się spowiedź, która z półgodzinną przerwą trwała do godziny 13.00. W tym czasie, gdy Nuncjusz z o. Erykiem siedzieli w konfesjonalach, ja trochę im pomagałem i przez resztę czasu towarzyszyłem kandydatom podczas ich dnia skupienia. Po spowiedzi mieliśmy obiad i krótką sjestę.

Następnie pojechaliśmy do wioski o nazwie El Puquio. Tam była pierwsza grupa do bierzmowania, trochę ponad sto osób. Kaplica ładnie udekorowana, na ołtarzu żywe kwiaty (tu wszędzie mają zwyczaj stawiania sztucznych, gdy wokół raj kwiatów), wszyscy odświętnie ubrani. Wróciliśmy do domu około godziny 20. Kolacja i po niej przenieśliśmy się na dwór na rekreację.

Rano, 1 listopada ciąg dalszy... O godzinie 9.00 rozpoczęła się Msza św. z 200 kandydatów do bierzmowania. Msza św. na placu przed kościołem. Kiedy przyszło do Komunii św. powiedziałem do Nuncjusza po hiszpańsku, że razem będziemy rozdawali Komunię przed ołtarzem. Do o. Eryka, też po hiszpańsku, aby poszedł na lewo od ołtarza. Do zakonnicy Brazylijki mówię:

- Idź na prawo od ołtarza.

Ona wzięła puszkę i patrzy na mnie jak w święty obrazek.

- Na co czekasz? Idź na prawo od ołtarza.

A ona dalej na mnie patrzy i nie rusza się.

- No idźże już! Ludzie czekają! - powiedziałem już zdenerwowany.

- No te entiendo. Dime lo en castellano... (Nie rozumię cię. Powiedz po hiszpańsku...).

No tak, do Polaków mówiłem po hiszpańsku, a do Brazylijki po polsku - koniec świata!

Po Mszy św. obiad, potem krótka sjesta i pojechaliśmy do San José Obrero. Tam prawie 100 do bierzmowania. Msza św. na dworze, też wszystko ładnie udekorowane. Podziwialiśmy tych, którzy przyszli z najdalszych wiosek. Szli dwa dni na Mszę św. i dwa dni wracali, a dwa tygodnie temu to samo na dzień skupienia.

Nastpnego dnia, po śniadaniu Nuncjusz z o. Erykiem pojechali do El Fortín. Stamtąd, 3 listopada, Nuncjusz pojechał do Cuatro Cañadas na bierzmowanie, a o. Eryk wrócił do Cochabamby.